

Corbyn bez matematyki

14 września 2015

Z Ianem Ilettem, wieloletnim członkiem brytyjskiej Partii Pracy, redaktorem pisma „Labour Briefings” i działaczem socjalistycznym rozmawia Bojan Stanisławski.

– Co tam słysząc na brytyjskiej lewicy? Ponoć szykują się wam wielkie zmiany.

– Trudno powiedzieć czy zmiany rzeczywiście zajdą, ale jest na to wielka i uzasadniona nadzieja. W brytyjskiej Partii Pracy, która jest gigantyczną organizacją, tradycyjnie wyrażającą głos klasy pracowniczej, przeprowadzone zostaną niebawem wybory nowego przewodniczącego. Jednym z kandydatów jest Jeremy Corbyn. On właśnie personifikuje tę nadzieję i wieszczy zmiany. To wyjątkowa okoliczność. Po latach blairowskiej smuty na horyzoncie wyłania się zupełnie nowa perspektywa. Wokół tej kandydatury, w ciągu dosłownie tygodni, powstał niesamowity – zarówno w sensie rozmiaru, jak i politycznej jakości – ruch społeczny. Poparcie dla Corbyna jest olbrzymie, istnieje uzasadnione podejrzenie, że gość może ten wewnętrzny plebiscyt wygrać i doprowadzić do gruntownych przewartościowań. Po tym jak ster Partii Pracy objął w późnych latach 90. Tony Blair, doszło do gigantycznego załamania, z którego Corbyn może pomóc lewicy w Wielkiej Brytanii się podźwignąć. Niewykluczone, że znów staniemy się realnym lewicowym graczem na scenie politycznej.

– Od czego to się zaczęło? To był jakiś przypadek?

– W pewnym sensie jest to przypadek, ale każdy przytomny człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że w polityce każdy przypadek jest manifestacją pewnej konieczności. Żeby zrozumieć obecne okoliczności trzeba wyjść od sytuacji obiektywnej, to jest – według mnie przynajmniej – od światowego kryzysu, który rozpoczął się pod koniec pierwszej

dekady tego wieku. Gospodarka brytyjska natychmiast odczuła jego skutki, ale okazały się one łagodniejsze od wstępnie przewidywanych. Rządząca prawica błyskawicznie przystąpiła do wdrażania programu cięć i oszczędności, zniechęcając do siebie bardzo dużą część wyborców. Oczywiście dochodzą do tego również inne elementy; upraszczam to celowo. Ta polityczna emocja narosła do tego stopnia, że Partia Pracy zaczęła prowadzić, niekiedy dość wyraźnie, w sondażach. Później poparcie dla niej zaczęło systematycznie spadać, gdyż post-blairystowskie kierownictwo wysyłało w przestrzeń publiczną jasny sygnał poparcia dla „austerity” – polityki oszczędności i cięć – jako jedyne, bolesnego, lecz koniecznego lekarstwa na problemy gospodarcze. To zadziało fatalnie na zmęczonych kolejnymi kontrreformami ludzi i – w efekcie – labourzyści mogli tuż przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi liczyć na niedużą większość; spodziewano się utworzenia rządu mniejszościowego. Zwycięstwo konserwatystów i Camerona nie tylko było niespodzianką, ale wywołało swego rodzaju polityczny wstrząs. Prawicowe przesłanie wyborcze Partii Pracy – właśnie w zakresie popierania polityki „austerity”, która była najbardziej znienawidzonym segmentem działań Camerona – spowodowało, że wyborcy się od niej odwrócili. W partii zawrzało, zapanowała absolutna wściekłość. Klęska wyborcza doprowadziła szeregowych członków i wielu lokalnych liderów do pasji. Przegraliśmy pomimo tak sprzyjających warunków! To uruchomiło procedurę wyborów nowego lidera. Jest ona dość skomplikowana, a do jej rozpoczęcia niezbędne jest zebranie określonej liczby podpisów od naszych posłów w Izbie Gmin. Wszystko działo się błyskawicznie. Corbynowi udało się to dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed rejestracją kandydatów.

– I nagle zaczęło się dziać?

– Tak. Zaskoczyło to wszystkich. Całą partię, przywództwo, różne lewicowe kanapy, no i samego Corbyna. Ruch powstał niemal natychmiast. To jest niewiarygodne. Żeby nie pozostawać

gołosłownym, prosty przykład: w Norwich, w Anglii, gdzie jestem przewodniczącym lokalnej struktury Partii Pracy, zorganizowaliśmy spotkanie z Jeremym Corbynem, na które przyszło 1500 osób. Proszę mnie dobrze zrozumieć. W całym regionie mieszka około 200 tys. mieszkańców. To było największe polityczne spotkanie w całej historii Norwich! I tak dzieje się wszędzie. Na spotkania, panele, dyskusje i w ogóle wszelkie wydarzenia, w których Corbyn bierze udział, przychodzą tysiące ludzi, ustawiają się kolejkach, by móc w ogóle dostać się na salę.

– Co, waszym zdaniem, spowodowało ten entuzjazm?

– Przede wszystkim otwarta krytyka polityki „austerity”. Corbyn pokazał ludziom, że Partia Pracy pod jego przywództwem będzie prawdziwą opozycją – i to wobec tego, czego ludzie najbardziej nienawidzą. Nagle złapaliśmy haust świeżego powietrza. To niesamowicie inspirujące.

– Przecież dopiero co powiedziałeś, że kryzys nie odbił się na brytyjskiej gospodarce tak drastycznie. Dlaczego zatem cięcia, które – jeśli dobrze rozumiem – również nie były bardzo głębokie, miały posłużyć jako platforma do mobilizowania ludzi?

– Dynamiki politycznej nie można tłumaczyć matematycznymi schematami. Polityka i społeczeństwo to przede wszystkim zjawiska jakościowe, a nie ilościowe. Kryzys miał swoje skutki ekonomiczne i socjalne. Nie były one tak drastyczne jak w Hiszpanii, Portugalii czy Grecji. Cięcia były mniejsze, ale to przecież nie oznacza, że nie miały społecznych skutków. Były one po prostu inne. Ważne jest to, że udało się w przestrzeni publicznej narzucić bardzo ważny dla prawicy paradygmat – tj. konieczność cięć. Propaganda brzmiała mniej więcej tak: u nas nie jest tak źle, ale wydawaliśmy więcej niż zarabialiśmy, kołdra jest za krótka, nie możemy funkcjonować przy tak dużym poziomie zadłużenia, trzeba zacisnąć pasa... Politykom niezwykle łatwo udało się narzucić społeczeństwu taką narrację, gdyż

jednocześnie media urządziły prawdziwą orgię strachu. Obawa przed „greckim scenariuszem” była tak silna, że przekuła się w przekonanie, iż faktycznie nie ma alternatywy. Z drugiej jednak strony, ze względu na charakter cięć, które wymierzone były głównie w ubogich, zaczął narastać oczywisty, ludowy gniew. Nie przełożył się on na żadne wymierne działania – z powodu braku alternatywy. Ludzie czuli jednak – niektórzy rozumieli to politycznie, inni tylko intuicyjnie – że to olbrzymia niesprawiedliwość, na którą nie zasługują. W pewnym sensie, czekali na kogoś, kto tę intuicję i emocje przekuje na polityczne postulaty i wystąpi z programem, który będzie wyrażał ich wolę, tj. w pierwszej kolejności, właśnie sprzeciw wobec „austerity”. Paradoksalnie więc, pewna miękkość kryzysu przyczyniła się do błyskawicznego umasowienia poparcia dla Jeremiego Corbyna. Powtarzam raz jeszcze – polityka to nie matematyka!

– A co stało się w samej Partii Pracy? Przecież Ed Miliband, który jej przewodził, był uznawany za wyraziście lewicowego. Dlaczego jemu nie udało się zmobilizować mas?

– To tak nie działa: kryzys + cięcia + bardziej lewicowy lider = sukces wyborczy. Błagam, nie bądźmy naiwni, proces polityczny to nie równanie. Miliband, owszem, robił takie wrażenie, ale nie był szczególnie wiarygodną figurą. Jego ekipa była jednak blairystowska. Pomimo pewnych, populistycznych ruchów, jasne było dla wszystkich, że jest on zwolennikiem tezy o nieuchronności cięć i oszczędności. Niezależnie od czynionych przez partię progresywnych deklaracji wszyscy mieli – słuszne zresztą – przekonanie, że gdyby labourzyści zwyciężyli w wyborach, sektor publiczny czekałyby wielkie cięcia. To raz. Dwa – od czasów Blaira sytuacja w partii zaczęła się systematycznie pogarszać. Dość powiedzieć, że straciliśmy w ostatnich latach aż 5 milionów głosów. To katastrofa. W tym kontekście nietrudno sobie wyobrazić, że taka postać jak Corbyn wywołała olbrzymią falę entuzjazmu. Ludzie zaczęli się masowo zapisywać, w ostatnich

miesiącach poczet członków różnych rang (w Partii Pracy obowiązują różne stopnie członkostwa) wzrósł o 150 tys. Drgnęło naprawdę poważnie! Warto też odnotować, że właśnie w tych wyborach, w których nasza przegrana okazała się wielką niespodzianką, po raz pierwszy od czasów Blaira realnie wzrosła liczba głosów oddanych na Partię Pracy. Ze względu na ordynację wyborczą nie przełożyło się to na faktycznie zwiększenie obecności w parlamencie. Mówię o tym jednak, by pokazać, że lekki lewicowy zwrot Milibanda znalazł swoje mechaniczne odzwierciedlenie, podobnie jak wdrożenie „austerity”. Ale mechanika i bezpośrednie odruchy w reakcji na jakiś bodziec rzadko bywają decydującymi czynnikami. Corbyn to coś znacznie więcej.

– Kim jest Jeremy Corbyn?

– To facet wyjątkowy. Ma za sobą wieloletnią, długą i imponującą historię. Jest jednym z tych, którzy charyzmę budują nie jakimiś bombastycznymi wiecowymi wrzaskami, ale swoim codziennym zachowaniem. Jest skromny. Niezepsuty. Ze środków na pokrywanie kosztów politycznej działalności wydał w całym zeszłym roku jakieś 10 funtów. Po mieście porusza się komunikacją miejską, jest niezwykle uprzejmy i kulturalny, chętnie rozmawia ze wszystkimi napotkanymi ludźmi. Jest też bardzo wiarygodny, bo przez cały okres swojej politycznej działalności zajmował jednoznacznie lewicowe stanowisko i był pewnego rodzaju symbolem – takiego nieosiągalnego ideału polityka Partii Pracy. Ze względu na ten aspekt „nieosiągalności” partyjna prawica nie protestowała, gdy został on wysunięty przez lewicową frakcję na kandydata. Nikt nie przewidywał nawet, że uda mu się zgromadzić podpisy parlamentarzystów. Mało tego, sam Corbyn był przekonany, że to kolejny, rutynowy ruch, w którym – tradycyjnie już – musimy przegrać. Rzeczywistość zaskoczyła nas wszystkich.

– A możecie wygrać?

– Możemy. To naprawdę możliwe.

– Wygracie, potem Partia Pracy odzyska utraconą wiarygodność, masy wam zaufają, wygracie wybory, stworzycie socjalistyczny rząd, a potem...

– Zaraz, zaraz. Nie odlatujemy, rozmawiajmy o polityce poważnie. Po pierwsze, nie jest pewne, że Corbyn zostanie przewodniczącym. Nie masz pojęcia, co dzieje się w mediach. Poziom histerii jest niewyobrażalny. Tylko o pedofilię go jeszcze nie oskarżyli. Po drugie – jeśli Corbyn wygra, to nie będzie koniec, lecz początek bardzo trudnej drogi. Chodzi nie tylko o odzyskanie wiarygodności, ale w ogóle o rolę w społeczeństwie. Rozejrzyj się! Stopień depolityzacji społeczeństwa jest gigantyczny. Bardziej od płacy minimalnej, czy dostępności lekarza pierwszego kontaktu, ludzi kręci ilość polubień zdjęcia ich obiadu na Instagramie. Kto ci powiedział, że jednoznaczny lewicowy przekaz będzie przekonujący dla większości społeczeństwa? Tu trzeba będzie stoczyć wielką walkę, a ewentualne zwycięstwo Corbyna to dopiero jej równie ewentualny zwiastun. Żyjemy w świecie kłamstw, popu, manipulacji i powszechnej ignorancji. To naprawdę nie jest proste.

– Nie jesteś optymistą? Notowania są po waszej stronie. 80 procent widzów ostatniej debaty kandydatów na lider Labour Party przyznało zwycięstwo Corbynowi.

– Jeszcze raz powtarzam – matematyka nie sprawdza się w polityce. Spójrz, nawet w Wenezueli, gdzie rewolucja boliwariańska dała ludziom tak wiele en masse, nie można spocząć na laurach. Tamtejszy przykład jasno pokazuje, że zawsze można wyzyskać te najbardziej plugawe instynkty tzw. klasy średniej, by przywrócić ancien regime. Przeciwno sobie mamy wszystko, całą rzeczywistość. Banki, ambasady, biznes, media i powszechną kulturę oraz masową ideologię, które naprawdę mocno sformatowały ludzi w ostatnich dekadach. Wybór Jeremyego Corbyna na przewodniczącego będzie wielkim krokiem i tchnie nowe morale, nowe siły... Pokaże, przepraszam za banał, nową jakość na lewicy – i to nie gdzieś na peryferiach systemu

politycznego, lecz w samym jego centrum. To będzie olbrzymie osiągnięcie. Radzę jednak trzymać ekscytację na wodzy i skupiać się na wyzwaniach, bo są one doprawdy olbrzymie. Polityka to nie happening.

Z Ianem Ilettem rozmawiał Bojan Stanisławski

Źródło: Strajk.eu